

I miejsce

Moi pradiadkowie

Większość swojego czasu spędzam w towarzystwie moich dziadków. Rozmawiamy o rodzinie, o moich przodkach. Znam ich tylko z opowieści. Zainspirowany tymi rozmowami postanowiłem bliżej poznać korzenie swojej rodziny.

Najbardziej urzekły mnie losy moich pradiadków, rodziców mojego dziadka, czyli mojej prababci Czesławy z domu Bobicz, urodzonej w 1924 roku i pradiadka Zygmunta Borysionka urodzonego w 1917 roku w miejscowości Dziedzina niedaleko Wilna. Pochodzili z jednej miejscowości, więc znali się od dziecka. Pradiadek mieszkał w dworku w Dziedzince należącym do rodu Rudnickich. Po wojnie była tam szkoła. Obecnie budynek ten jest bardzo zniszczony.

W czasie II wojny światowej drogi moich pradiadków rozeszły się. Będąc bardzo młodzi, zostali przez los, jaki zgutowała im wojna, mocno doświadczeni. Prababcia została zesłana na Syberię. Tam w łagrach spędziła prawie całą wojnę. Warunki, w jakich tam żyli ludzie, były okropne. Rosjanie bili ich, prześladowali, znęcali się nad nimi. Bardzo często babcia Czesia opowiadała, że przez 3-4 dni nie dostawali jedzenia. Czasem rzucano im jedzenie przez ogrodzenie prosto w błoto. Ludzie umierali masowo nie tylko z głodu, chorób, ale i na skutek tortur. Gdy nadchodziły silne mrozy, przetrzymywano ich na dworze, dopóki kilka osób nie padło z wycieńczenia i nie zamarzło. Do dzisiaj mamy w domu nagrane pieśni, które prababcia śpiewała na wygnaniu. Łzy same cisną się do oczu.

Mój pradiadek Zygmunt w tym czasie dzielił podobny los. Był artylerzystą i obsługiwał haubicę, takie duże działo. Podczas walk działo urwało mu dwa palce i został wraz z resztą kolegów przysypany w okopie. Niestety, został wzięty do niewoli przez żołnierzy niemieckich. Stamtąd trafił do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Powstawały tam piece zwane krematoriami. Pradiadek był wielokrotnie bity i zmuszany do prac przy rozbudowie obozu. Z opowieści pradiadka wynika, iż prawdziwe piekło zaczęło się, gdy zaczęły przyjeżdżać transporty z Żydami. Dla nich nie było litości. Wysyłano ich „do gazu”, a ich ciała palono w piecach. Zawsze panował w obozie okropny fetor palonych ciał.

Po trzech latach pradiadek za sprawą przypadku został odesłany na roboty do Niemiec. Przyczyniło się zapewne do tego to, że biegle władał językiem niemieckim i przed

wojną zajmował się końmi. W Niemczech pracował jako stangret. Powoził dorożką u niemieckiego Baera. Był ciągle pilnowany, żeby nie uciekł do Polski.

Po latach ciężkiej tułaczki i ciężkich przeżyć drogi moich pradziadków się zbiegły. Był to szczęśliwy czas, gdyż nastał koniec II wojny światowej.

Wtedy moi pradziadkowie przybyli na Mazury. Wszędzie wokoło były spalone domy, zniszczone gospodarstwa. Panował głód, choroby, brakowało środków do życia. Mimo to tutaj osiedlili się i zaczęli wszystko od nowa. Często opowiadali, że gdy przybyli do Markowa, przydzielono im dom na kolonii, zakopywali zwłoki żołnierzy.

Moi dziadkowie i rodzice opowiadali mi, że pradziadkowie zawsze umieli cieszyć się z tego, co mieli, a w każdym zakątku domu widać było ich pracę. Do dzięki swojemu wysiłkowi doszli do wszystkiego.

Szkoda, że nie ma ich wśród nas. Zawsze będę ich wspominał. Ich losy nadal mnie ciekawią. Zamierzam zbierać wiadomości i materiały na ten temat.

Paweł Graczyk